Dodatek do Nr. 202 „Głosu Narodu".

Kraków, 30. lipca 1933 r. I.

GŁOS LITERACKO-NAUKOWY

wychodzi w niedzielę jako bezpłatny dodatek „GŁOSU NARODU"

Kolegjata łacińska w Stanisławowie

Miasto Stanisławów, jedno z najmłodszych wiekiem miast polskich na Rusi Czerwonej, (rok założenia 1661) wśród swoich niewielu zabytków historycznych, może poszczycić się kilkoma, które świadczą chlubnie o poważnej i zaszczytnej roli dziejowej i kulturalnej grodu Potockich i stanowią obecnie prawdziwą ozdobę i dumę miasta. Ogół społeczeństwa polskiego niewiele się niemi interesował; o jednych np. fortyfikacjach nie wiedziano wogóle że istnieją, na inne, głównie tu tejsze kościoły nie zwracano w zupełności uwagi. I dopiero trzeba było inicjatywy jednostek, owianych szczerym i niekłamanym kultem pamiątek naszej przeszłości narodowej, aby je wydobyć z zapomnienia, pokazać społeczeństwu a co najważniejsze ochronić je od grożącej zdawało się niechybnie zagłady.* Gdy tylko minęły dni zawieruchy wojennej zakrzątał się dzielnie i energicznie ks. proboszcz Komusiewicz około gruntownej restauracji kościoła ormiańskiego pięknego zabytku budownictwa barokowego z poł. XVIII-go wieku.

Po kościele ormiańskim przyszła kolej na najstarszy zabytek Stanisławowa, kolegjatę łacińską, której dzieje sięgają pierwszych lat istnienia miasta. Kiedy bowiem wszystkie zabytki stanisławowskie pochodzą z połowy XVIII-go wieku i są dziełem troskliwości i ambicji ówczesnego właściciela miasta Józefa Potockiego, wielkiego hetmana koronnego, to kolegiata łacińska, to dzieło założyciela miasta Jędrzeja Potockiego, wojewody kijowskiego i hetmana polnego; pomijając częściowe restauracje i przybudówki utrzymała się kolegiata łacińska w niezmienionym stanie do dnia dzisiejszego i w chwili obecnej znajduje się w stanie gruntownej restauracji tak z zewnątrz jak i wewnątrz. O restauracji kolegiaty stanisławowskiej mówiło się już od lat 6 i częściowo ją przeprowadzono; dopiero jednak objęcie rządów proboszczowskich w stanisławowskiej parafji przez obecnego proboszcza ks. Inf. Dr. E. Baziaka, pchnęło sprawę restauracji kolegiaty na definitywne tory. Ta też okoliczność stała się przyczyną ukazania się niniejszego krótkiego szkicu, który wszystkim interesującym się naszą przeszłością narodową i jej pomnikami, przypomni dzieje jednego z najpiękniejszych świadectw — naszej kultury wieku XVIII-go na kresach wschodnich.

* * *

Początki kolegiaty a raczej kościoła parafialnego w Stanisławowie sięgają ostatnich lat panowania Jana Kazimierza i łączą się najściślej z początkami miasta Stanisławowa. W marcu i w maju roku 1661 ukazują się pierwsze dokumenty dotyczące założenia Stanisławowa a już 9 listopada tegoż roku wydaje założyciel miasta Jędrzej Potocki, starosta halicki, późniejszy kasztelan krakowski i hetman polny koronny, przywilej erekcyjny dla kościoła parafialnego łacińskiego. Na mocy tego przywileju wybudowano początkowo mały kościół drewniany; kościołek ten jednak nie mógł długo służyć potrzebom coraz bardziej wzrastającej ludności i nie był zresztą dostosowany swoją konstrukcją do sytuacji ówczesnej miasta, które przedewszystkiem było twierdzą, mającą w najbliższym czasie odegrać bardzo doniosłą rolę. Dlatego też już w lat 8 po założeniu miasta podejmuje ambitny Jędrzej Potocki myśl wybudowania wielkiego kościoła murowanego; budowę rozpoczęto w r. 1670 lub 1671 i postępowała ona widocznie dość szybko skoro w r. 1672 znany podróżnik Ulryk Werdum pisze, że w Stanisławowie oglądał obok drewnianego kościoła, „piękny kościół z kamienia już dość zaawansowany". W rok potem arcybiskup lwowski Wojciech Korycinski położył kamień węgielny ale na zupełne ukończenie kościoła trzeba było czekać dość długo. Równocześnie bowiem z budową nowego kościoła spadły na miasto najazdy tureckie i tatarskie, trwające niemal bez przerwy do r. 1676, potem wypadki polityczne z lat 1683, 1686 odciągały uwagę założyciela miasta w inną stronę; dopiero jego następca i syn Józef Potocki budowę dokończył i w r. 1703 Arcybiskup lwowski Konstanty Zieliński dokonał konsekracji wykończonego kościoła. Kościół ten wybudowany w klasycznym stylu barokowym, w rzucie poziomym w kształcie krzyża przetrwał, jak już wspomnieliśmy, w zasadniczym swym zrębie do dnia dzisiejszego, ulegając licznym zmianom w latach późniejszych.

Na tem jednak nie kończyły się troski pana miasta w związku z erekcją naszego kościoła. Trzeba było jeszcze parafję odpowiednio do jej godności uposażyć. I o tem nie zapomina hojny Jędrzej Potocki. W przywileju erekcyjnym otrzymał pierwszy proboszcz stanisławowski ks. Wojciech Białaczewski część wsi Pasieczna, prawo do używania ewentualnego wszystkich młynów w dobrach Potockich, dziesięcinę z folwarków, prawo wyrębu w lasach oraz 600 zł. rocznie; niezależnie od tego zagwarantowano proboszczowi pewne dochody z miasta np. stołowe, świadczenia poszczególnych cechów itd. Pamiętał również o świeżo erygowanej parafji Król Jan Kazimierz, który w r. 1667 nadaje z dóbr swych Czerniejowa, Chryplina, Chomiakowa i Pawełcza dziesięcinę na rzecz naszego kościoła. Słowa zaś dokumentu królewskiego są pozatem wymownym dowodem troski królewskiej o losy kościoła katolickiego na Pokuciu. Jeśli bowiem czytamy we wspomnianym dokumencie, że Król dlatego daje dziesięcinę: „ut cultus divinus in his praecipue partibus in quibus Schismaticorum temeritas frequens conspicitur maius sumat in dies incrementum" to widocznie już w tych czasach, pod wpływem zdaje się zawodów i niepowodzeń doznanych w sprawach związanych z buntami kozackiemi, rozumiano należycie rolę i znaczenie i zadania jakie kościół katolicki miał na tych ziemiach do spełniania. Uposażenie to znacznie powiększono w r. 1669 w związku z reorganizacją kościoła stanisławowskiego na kolegiatę. Nowo utworzony kościół miał poza proboszczem trzech wikarjuszy i był pod wezwaniem N. P. Marji, Św. Andrzeja, Św. Stanisława (biskupa) i Św. Anny.

* * *

Jędrzej Potocki zakładając miasto jako twierdzę, która w niedługim czasie miała zastąpić Kamieniec Podolski po haniebnym pokoju buczackim i zadanie to w latach 1672-6 chlubnie spełniło, miał pozatem inne cele na widoku. Stanisławów miał być w intencjach swego założyciela nietylko twierdzą chroniącą Rzplitą od strony Mołdawji i stepów i posterunkiem utrzymującym ład i porządek na Pokuciu podminowanem przez agitacje kozacką jeszcze z lat 1648—54, ale równocześnie poważnem ogniskiem kultury i oświaty, którąby stąd promieniowała na całe Zadniestrze i tem silniej wiązała je z resztą kraju. Ośrodkiem dla realizacji tych planów miał stać się kościół parafialny; żeby jednak mógł kościół stanisławowski odpowiedzieć nowym czekającym nań zadaniom trzeba jego organizację jak i zasoby powiększyć. Temu właśnie celowi, nie mówiąc już o względach religijnych równie ważnych, miała służyć reorganizacja a raczej przemiana kościoła parafialnego na stopień organizacyjny wyższy, na kolegiatę, której organizacja i statutami określone zadania najlepiej odpowiadały planom założyciela miasta. Wydanie aktu fundacyjnego kolegjaty i z nią złączonej akademii z dnia 15 kwietnia 1669 r., stanowi punkt zwrotny w dziejach parafji łacińskiej stanisławowskiej; rozpoczyna się nowy etap jej rozwoju historycznego.

Fundacja kolegjaty przez Jędrzeja Potockiego określała w sposób bardzo szczegółowy jej organizację, uposażenie i zadania. W skład kapituły kolegiackiej wchodzili dziekan, który równocześnie pełnił obowiązki proboszcza parafji, kustosz i scholastyk jako trzej prałaci, dalej trzech kanoników; pozatem przewidziani byli 4 wikarjusze, na których zresztą przelany był cały ciężar opieki duszpasterkiej w kościele i parafji. W praktyce jednak wiele się zmieniło. Przedewszystkiem dziekan bardzo często wyższy dostojnik duchowny (np. biskup łucki Rupniewski lub biskup kijowski Ossoliński) rzadko kiedy stale rezydował w Stanisławowie; zjeżdżał dwa lub trzy razy w ciągu swego życia na posiedzenia kapituły a pozatem zastępował go stale kustosz lub rzadziej scholastyk, którzy w ten sposób byli faktycznymi włodarzami kolegiaty. Kustosz zarządzał majątkiem kolegiaty, scholastyk zaś jak długo istniała akademja był jej zwierzchnikiem. Kanonicy byli zastępcami prałatów w ich funkcjach a równocześnie z reguły proboszczami okolicznych parafji (np. Łysiec, Ottynji, Nadwórna, Mariampol, Kąkolniki etc.). Przy tego rodzaju organizacji opiekę duszpasterską rzecz prosta spełniali jak wspomniano wikarjusze; a ponieważ rzadko kiedy była pełna przewidziana przez fundatora liczba wikarych, więc z chwilą sprowadzenia OO. Jezuitów do Stanisławowa ci ostatni pomagali w pracy duszpasterskiej przedewszystkiem przez wygłaszanie kazań. Stąd też po rozwiązaniu Zakonu OO. Jezuitów miała kapituła kolegiacka wiele powodu do narzekania i usilnie starała się o to, aby umożliwić ex-Jezuitom dalszy pobyt w mieście i zapewnić sobie dalszą ich pomoc. Taką samą pomoc miała kolegjata także u OO. Trynitarzy zwłaszcza gdy zachodziły zresztą dość częste nieporozumienia z Jezuitami.

W skład za pomnożeniem obsady kapituły musiało pójść także pomnożenie jej uposażenia. I tak dziekan dostał po proboszczu wieś Pasieczną i dziesięcinę z Krzywotuł, kustosz wieś Słobodę Mazowiecką i Zagwóźdź, które fundator przeznaczył równocześnie na utrzymanie kanoników i wikarjuszy, scholastyk wreszcie wieś Skopówkę oraz dwa łany w Hołoskowie. Do tego dodać należy jeszcze fundacje z tytułu udzielania nauki w akademji kolegjackiej a mianowicie probostwo w Ottynji dla Scholastyka, probostwo w Łyścu dla pierwszego kanonika, probostwo w w Kozowej dla drugiego kanonika. W r. 1715 zaszły pewne zmiany w uposażeniu; kolegiata dostała wieś Paryszcze a w r. 1721 nastąpiła zmiana dóbr Zagwóźdź i Mazurówki na Chutków. Poza tem zasadniczem uposażeniem miała nasza kolegiata cały szereg dodatkowych dochodów jak dziesięciny, legaty, wyderkafy itd., które łącznie tworzyły wielki majątek umożliwiający kolegjacie spełnianie zadań nałożonych przez wielkodusznego fundatora.

Bogato uposażona kolegiata nie zawiodła nadziei pokładanych w niej przez całe ówczesne społeczeństwo i panów miasta. Poza swymi ściśle religijnemi obowiązkami rozwijała kolegiata bardzo ożywioną pracę w dziedzinie wychowania, opieki społecznej itp. Kolegiata utrzymywała szkołę elementarną, akademię, bursy dla studentów i muzyków kościelnych, szpital, które razem tworzyły odrębny dla siebie ośrodek skupiający w sobie

całe ówczesne życie kulturalne i umysłowe miasta.

W szczególności największą rolę odegrała z pośród tych wszystkich wymienionych instytucyj utrzymywanych przez kolegiatę akademja kolegjacka tworząca filję Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jedyna obok zamojskiej tego rodzaju uczelnia na całym obszarze ziem ruskich, wychowała przez lat przeszło 40 swego istnienia długi poczet uczniów z pośród szlachty pokuckiej i może nawet bogatszego mieszczaństwa i niosła dobroczynne światło wiedzy i kultury na dalekie przestrzenie Ziemi halickej. Jej to dzieło od r. 1715 — kiedy skutkiem zmienionych warunków kolegjata rezygnuje z utrzymania akademji — kontynuują OO. Jezuici w murach swego kolegjum i od niej to wywodzi się w prostej linji dzisiejsze I-sze państwowe gimnazjum. Dzięki tej uczelni odegrała kolegjata obok zamku hetmańskiego, główną rolę w rozwoju kulturalnym i gospodarczym miasta i ona to przyczyniła się w walnej mierze do tego, że Stanisławów w szybkiem stosunkowo tempie, zdołał zdobyć sobie czołowe stanowisko wśród wszystkich miast na Rusi i z tego stanowiska nie dał się zepchnąć.

Po upadku akademji zmalało nieco znaczenie i powaga kolegjaty. Ciągłe wojny i zamieszki wewnętrzne, potem śmierć prawdziwego ducha opiekuńczego miasta w I-szej połowie XVIII-go w. jakim był hetman wielki koronny Józef Potocki, wreszcie I-szy rozbiór Polski doprowadziły do dalekto posuniętej dezorganizacji. Wprawdzie ostatnia dziedziczka miasta Katarzyna Kossakowska, a za nią i metropolja lwowska próbowały tchnąć w nią nowego ducha i ożywić jednak bez rezultatu. Zabór zaś dóbr kolegjackich z r. 1782 dokonał reszty. Likwidacja kolegjaty z r. 1799 była tylko stwierdzeniem stanu faktycznego, który wobec przejścia całego dziedzictwa Potockich w ręce rządu austrjackiego nie dawał żadnych nadziei zmiany na lepsze. Od r. 1799 kolegjata przemieniona na zwyczajną parafję z proboszczem na czele wchodzi na nową drogę swego rozwoju.

* * *

W ciągu tego 130-letniego istnienia kolegjaty zaszły bardzo poważne zmiany w samej świątyni kolegjackiej i jej wewnętrznym i zewnętrznym wyglądzie. Chociaż napis nad skarbcem kościelnym do dziś głosi, że „gmach ten stać będzie dobrze, ponieważ jest postawiony na silnej skale“ to jednak już w latach najbliższych okazały się widoczne ślady niedbałej, a może nieostrożnej roboty jej budowniczych. Nie liczono się widocznie z tym notorycznym faktem, że cały grunt na jakim budowano miasto i wszyskie jego budowle to grunt moczarowaty, co jeszcze w czasach dzisiejszych daje się odczuwać. Dość, że koło roku 1720 mury kościoła zaczęły się rysować podobnie jak to zresztą było później z kościołem OO. Jezuitów. Na szczęście sytuacja nie była tak groźna jak z kościołem jezuickim. Bo kiedy ten w r. 1755 trzeba było poprostu zburzyć i na nowo od fundamentów budować, to tutaj skończyło się na grunownej restauracji, jaka po tymczasowej restauracji z r. 1721, przeprowadził pan miasta Józef Potocki w r. 1737. Nie żałował środków pieniężnych hojny jak zawsze hetman. Jak głosi jego pośmiertny panegiryk „niebezpieczny tutejszej kolegjaty kościół wsparł mocno i gruntownie łożąc tyle nakładów na szkarpy, żeby za ten koszt nowy kościół był wystawił“. Restauracja Józefa Potockiego głównie więc na tem polegała, że nadwątlone ściany wzmocnił silnemi szkarpami dookoła co zewnętrzny wygląd kościoła dość znacznie zmieniło, zatraciły się linje klasycznego baroku, ciężkie przypory przytłaczające kościół, nadają mu charakter obronnego zamku - kościoła. W tym stanie utrzymał się stanisławowski kościół do dnia dzisiejszego. Poza dobudowaniem środkowej wieży, wybudowano w roku 1744 także osobną dzwonnicę, gdzie umieszczono wszystkie dzwony z największym ochrzczonym imieniem św. Jędrzeja. Ale i tutaj również nauka poszła w las. Dzwonnica ta z tych samych przyczyn zaczęła się w r. 1824 walić i znowu trzeba było ją podpierać szkarpami. Nie na długo to pomogło; dziś znajduje się ona w stanie kompletnej ruiny, dzwony musiano ubiegłego roku usunąć a sama dzwonnica sterczy porysowana groźnie jak smutny pomnik niedbalstwa przodków i braku gotówki na odnowienie i wzmocnienie czasów dzisiejszych.

Po restauracji z r. 1737 z czasów której do dzisiejszego dnia zachowała się pamiątka w formie napisu na wschodniej ścianie kościoła, nie wiele zmieniło się w zewnętrznym i wewnętrznym wyglądzie kościoła. Poza pewnemi uzupełnieniami lub poprawkami żadnej gruntowniejszej restauracji aż do dni dzisiejszych nie podjęto. W r. 1751 obito z okazji pogrzebu cały kościół adamaszkową materją, którą zdjęto za rządów proboszcza Krasowskiego w r. 1877. W latach następnych 1757, 1767, 1769, 1770 słyszymy o jakichś wydatkach na fabrica ecclesiae sięgających sumy 3.350 złp., ale potem aż do połowy prawie wieku XIX-go ie podaje nam archiwum kościelne żadnych w tym względzie wiadomości. Przechodziła w tym czasie nasza kolegjata okres zdaje się najcięższy w swej historji. Dzieliła ona w tym względzie dolę i niedolę miasta, na które raz po razu spadają ciosy sprowadzające ostateczny upadek życia gospodarczego i kulturalnego w tak niedawno temu kwitnącem mieście. Więc zamieszki wewnętrzne z ostatnich lat rządów polskich na Rusi Czerwonej, najazdy wojsk rosyjskich niszczących mienie kolegjaty, z kolei przejście Stanisławowa pod panowanie austrjackie a w ślad za tem idący zabór częściowy dóbr kolegjackich w latach 1784 i 1799 i samo wreszcie zniesienie kolegjaty, a wreszcie przejścia w dobie wojen napoleońskich, które prowadziły dalsza dewastację majątku kościelnego (w latach 1810—1812 zabrano srebro kościelne wartości 1300 fl. austr.) oto okoliczności jakie ujemnie odbiły się na losach kościoła i parafii. Gdy zaś nastał długo oczekiwany pokój to znowu ustawiczne zmiany na stanowisku proboszcza nie mogły przyczynić się do polepszenia sytuacji. Od r. 1812 do 1822 siedzi na probostwie stary i widocznie już niedołężny ks. Obarzankowski, w następnem zaś 10 leciu aż cztery razy zmieniać się będą włodarze naszej kolegjaty. Dopiero rządy ks. Kościńskiego sprowadziły zmianę na lepsze. On to w r. 1844 przeprowadził pierwszą od lat gruntowniejszą restaurację kościoła, a po nim również wiele zasłużył się około podniesienia parafji i kościoła długoletni proboszcz ks. Jan Krasowski. Za jego to rządów wiele zmieniło się w stanisławowskim kościele. Wprawdzie ów wielki i straszny pożar Stanisławowa z r. 1868 ominął szczęśliwie mury kolegjaty, ale już w r. 1882 częściowy pożar zniszczył dach, wieżę i świeżo wymalowane sklepienie kopuły. Przeprowadzona w tym samym roku restauracja zmieniła w pewnym stopniu zewnętrzny wygląd kościoła jeśli chodzi o górne części świątyni i w tym stanie utrzymał się on do dnia dzisiejszego. Długoletni proboszcz ks. prałat Piaskiewicz wykazał również wiele starania o kościół; wstawiono nową posadzkę, odnowiono ołtarze św. Wincentego i św. Józefa, sprawiono nowe organy no i wreszcie pozłocono niestety wszystkie ołtarze. Tak przetrwał kościół stanisławowski aż do wybuchu wojny.

Wielka wojna, która tak bardzo dała się we znaki naszemu miastu nie spowodowała na szczęście większych szkód w kościele; niemniej jednak, ostrzeliwanie miasta przez artylerję najcięższego kalibru w r. 1917 i powstałe stąd wstrząsy odbiły się ujemnie na spoistości murów kolegjackich i groźba zawalenia się znowu zawisła nad świątynią. Brak środków pieniężnych opóźnił trochę podjęcie robót restauracyjnych i dopiero pod koniec rządów ks. Piaskiewicza wzięto się przy pomocy czynników rządowych, miejskich i całego społeczeństwa do gruntownej restauracji in capite et membris tego najstarszego zabytku miasta. Rozpoczęto w danej chwili od rzeczy najważniejszej od wzmocnienia i odwodnienia fundamentów, wzmocnienia tu i ówdzie porysowanych murów i zewnętrznego wyprawiania kościoła. W tym czasie r. 1931 objął rządy parafji obecny proboszcz ks. Inf. Baziak, który kontynuuje podjęte dzieło dalej. Dokończył zewnętrznej restauracji kościoła, zbudował prowizoryczną dzwonnicę, dokonano odnowienia zakrystji, skarbca, i naw bocznych a obecnie są w toku prace najważniejsze i najcięższe a mianowicie restauracja nawy głównej. Najcięższe dlatego, że chodzi tutaj o to, aby przy odnawianiu ścian i sklepienia nie zatracić charakteru zabytkowego świątyni a równocześnie podkreślić jak najsilniej walory artystyczne wszystkich szczegółów wewnętrznego urządzenia. Pozatem odnowiono statuę Matki Boskiej przed kościołem oraz założono chodnik dookoła świątyni.

Na zakończenie niniejszego szkicu jeszcze parę słów o grobach hetmańskich, mieszczących się w podziemiach kolegjaty i o resztkach zabytków jakie dochowały się pozatem w murach kolegjaty. Szczątki rodziny Potockich w podziemiach kościoła znajdują się w stanie pożałowania godnym. Stwierdzono przedewszystkiem kilkakrotne splądrowanie grobów hetmańskich i to tak dalece, że dziś trudno niejedne z nich zidentyfikować. Znajdują się więc tam zwłoki założyciela miasta Jędrzeja Potockiego i jego żony Anny z Rysińskich, Józefa Potockiego w. h. k. i jego żony Wiktorji z Leszczyńskich, syna Jędrzeja Stanisława poległego pod Wiedniem (od niego to nosi Stanisławów swoją nazwę), wnuka Józefa Potockiego, oraz jeden dziecinny sarkofag, którego przynależności ustalić narazie nie zdołano. Przy zwłokach w czasie badania sarkofagów żadnych kosztowności poza małym medaljonikiem Matki Boskiej nie znaleziono. Pozatem istnieją podziemia boczne w kształcie długich chodników, w których znaleziono czaszki i resztki kości.

Z pośród innych pamiątek wymienić należy cztery współcześnie malowane portrety panów miasta Jędrzeja i Józefa Potockich, oraz arcybiskupów Tarnowskiego i Zielińskiego, oraz dwa dalsze, których przynależności również ustalić narazie nie można; prócz tych znajdują się w kolegjacie dwa malowidła ścienne reprodukujące zewnętrzny wygląd kościoła z połowy XVIII-go wieku, oraz cztery posągi przedstawiające członków rodziny Potockich. (Mikołaj i Stanisław Potoccy, wielcy hetmani koronni, Jędrzej i Feliks hetmani polni). Nie wspominamy o takich zabytkach, które należą do wewnętrznego urządzenia kościelnego albo do inwentarza przedmiotów liturgicznych. Z bibljoteki kolegjackiej pozostały nic nie znaczące resztki, archiwum zaś poza częścią wywiezioną do archiwum metropolitalnego we Lwowie, zawiera księgi parafjalne z końca XVIII i początku XIX-go wieku, księgę protokołów kapituły kolegjackiej, oraz pokaźny plik aktów dotyczących organizacji i stanu gospodarczego parafji stanisławowskiej.

DR. JÓZEF ZIELIŃSKI.

Blaski i nędze teatru polskiego

Clive Bell autor książki „Civilization“ dochodzi do wniosku, że sztuka i kultura były zawsze tam gdzie nie było wolności... i powszechnego prawa głosowania.

Jakkolwiek wydawałoby się to paradoksem, to pewne dzieje z epoki Aten od bitwy pod Maratonem aż po panowanie Aleksandra Wielkiego, pierwsze dzieje okresu państwa rzymskiego (z ograniczeniami). Włochy z XV i XVI wieku, Francja od czasów frondy 1653 r. aż do Wielkiej Rewolucji wszystko to potwierdza powyższą tezę.

Państwa te dawały wolność wybitnym jednostkom artystycznym ale nigdy ogółowi.

Ateny w 102 roku przed Chrystusem wystawiają w teatrze „Lizystratę“, Arystofanesa i mimo tego, że wyprawa sycylijska zakończyła się fatalnie, lud szedł słuchać jedną z najbardziej antymilitarnych sztuk, kpiąc w oczy z autorów wyprawy.

W kwestjach sztuki dominowało, czy **sztuka jest dobrą, czy złą.** Polska zawdzięcza swój teatr Włochom, których sprowadził do nas Władysław IV. i ci stworzyli trwałą podwalinę pod polski teatr, który przeszedł przez blaski i wszedł w dzisiejszą nędzę wegetacji.

Pierwsze przedstawienia fars z maskami na sposób grecki dawane w tak zwanej „Comedia dell'arte“ w odróżnieniu od komedji literackiej czyli „Comedia — Erudita“, były tworzone na poczekaniu, dość wymienić Kochanowskiego, „Odprawę posłów Greckich“, która mimo bojaźni autora, stała się klasycznym utworem XVI wieku o wartości europejskiej, czego nie można powiedzieć o rozmaitych grafomanach włoskich w guście aktora i autora Francesca Andreciniego. Z początkiem XVIII wieku mieliśmy około 20 teatrów prócz Warszawy, Wilna i Krakowa. Teatry te grały przeważnie po dworach, Puławy, Nieśwież, Łańcut, Rożany, Rydzyna, i szereg dworów magnackich rozsianych po Polsce promieniowały kulturą teatralną w kraju.

Należałoby zaznaczyć, że w Italji obok

improwizowanej komedji, powstał typ „heroikomiczny" lub wręcz fantastycznej sceny jaką stworzyła plejada poetów a zwłaszcza aktorów wkładających do tekstu sztuki gotowej, własną koncepcję. Komedja stale miała jedne i te same postacie jak Columbina, Pantalon, Arlekin lub nasz Sowizdżał, strawestowany z „Hauswursta" niemieckiego. Dzieła te tłumaczyli u nas Krzysztof Piekarski, Ignacy Krasicki i inni. XVIII wiek stworzył typ klasyczny „Comedji dell'arte, który, miał pewien schemat ideowy, który oparty o konstrukcję dramatyczną Alfrediego (1748 — 1804) stworzył **„tragedję narodową"**.

Na naszym gruncie Alfredi znalazł naśladowców w Wężyku, Chodkiewiczu, Bogusławskim i tłumacz Faleński jest wyrazicielem tej epoki.

„Comedia del'arte" była zawiązkiem sceny narodowej polskiej.

Zupełnie nie miał racji pan Gaston Baty krytyk teatralny francuski, zarzucając nam z okazji wystawy teatralnej w Paryżu brak własnej narodowej tradycji teatralnej i jej ciągłości.

Dzisiejszy teatr przeżywa kryzys chorobliwy na który złożyły się liczne czynniki, z których najważniejsze są dwa:

Wewnętrzny upadek teatru — i kino! Pierwsze to zatracenie przez decydujące o losach teatru czynniki **poczucie istoty celów teatru,** przez podnoszenie i poprawianie tegoż teatru środkami jakiemi scena rozporządza.

A więc efektem dekoracyjnym malarskim, muzyką, słowem, nastrojem sceny co jest głównym posłannictwem i celem teatru.

Dzisiejszy teatr operuje **płytkością i taniością,** tak strony dekoracyjnej, jak i cynizmem i paradoksem moralnym repertuaru.

Ogólne obniżenie poziomu estetycznego i moralnego składa się na dzisiejszą nędzę teatru, na brak zainteresowania się nim.

Jeśli mowa o kinie to należy zaznaczyć, że nie kino jest powodem upadku teatru, ale właśnie kino wykazało zmurszałość podwalin artystycznych teatru. Kino przewyższyło teatr, **ruchem, dekoracją, obojętnością dla czasu, dla pory roku,** przestrzeni i nadewszystko niesłychaną fantazją.

Znakomity poeta i krytyk teatralny Józef Jedlicz, w swojej rozprawce „Teatr a kino", pisze, że kino w swym rozwoju współczesnym urzeczywistnia nieukojona tęsknotę **do wyjścia z własnych ram i szablonów,** do roszerzenia horyzontów witalnych, tęsknotę do przestrzeni i bezmiaru. I tu leży prawda, że teatr stracił, przegrał w sferze sztuki stanowisko decydujące i z chaosu tego może go wydźwigać na koturny, wysoki uduchowiony etyczny poziom. Teatr ma dwie strony tak jak medal, literacką i artystyczno-dekoracyjną. O tej drugiej stronie nie wiele można powiedzieć aż do czasów Młodej Polski. Wiemy, że u Bogusławskiego pracowali Włosi Maraino i A. Scotti, z polaków Osiński z francuzów Louis Coruttin, P. A. Jutti, w Warszawie tworzył A. Szmuglewicz, J. Giesel, J. B. Flersch, Jasiński, Jaszczołd, Głowacki, Lachetti, Malinowski uczeń Lavastrea z paryskiej malarni operowej, Stanisław Jasieński, Góranowski i Klopfer.

Lwów miał poza Marainem i Szmuglewiczem na dyrekcji Bogusławskiego w latach 1793 — 1801. Lalogego, E. R. Fabijańskiego, Engertha, Martinelego, Polmanna, Düla, Balka, Polityńskiego, Setkiewicza, a za czasów dyr. Pawlikowskiego — Hellera malarza słonecznej Italji, Feliksa Michała Wygrzywalskiego, który swój wielki talent kolorysty i łatwość rysowniczą zaklął w miraże złudzeń teatralnych.

Na scenie teatru krakowskiego długo aż po dni nasze świeci jak meteor geniusz gwiazdy Stanisława Wyspiańskiego, który zerwawszy z wszelką rutyną konwenansem z utylitarną tendencją społeczną, stał się odnowicielem polskiego teatru narodowego i jakkolwiek nie był w ścisłem tego słowa znaczeniu reformatorem sceny to twierdzić należy, że dał teatrowi treść i formę własną, odrębną.

Warszawa za czasów powstania państwa polskiego wzniosła sztukę teatralną na najwyższe szczyty. Symbioza sił autorskich, reżyserskich aktorskich i dekoratorów odniosła tryumf olbrzymi. Szyfman, Sziller, Solski, Stanisławski, Węgrzyn, Adwentowicz nastręcza swoją twórczą inwencją szerokie pole do popisu dla artystów-dekoratorów.

Na pierwszem miejscu należy wpisać tragicznie zmarłego Wincentego Drabika, którego fantazja zbudowana czarem bajek o jednej i tysiącach nocy, umiłowanie roz ległej perspektywy i gra świateł wysunęły na czoło twórców współczesnej sztuki dekoracyjnej, Karol Frycz subtelny twórca Stanisław Śliwiński, kapitalny dekorator Józef Wodyński lwowianin, bracia Andrzej i Zbigniew Pronaszko, ktrzy w współpracy z Schillerem zapomocą konsekwentnej racjonalizacji konstrukcji brył i linij stworzyli teatr nowoczesny. Do niedawna, teatr był za czasów Fredry, Moniuszki, Bałuckiego, Wyspiańskiego polską rzeczywistością, był wyrazicielem polskiej racji stanu, tę scenę naród wielbił, scena jak mówi J. N. Kamiński rozmawiała z „sercem narodu", była wyrazicielem jego tęsknot, dzisiaj zaś jest w agonji i „rozmawia tylko z komisją teatralną w sprawie zaliczki na dalszą agonję".

ZYGMUNT KURCZYŃSKI

—o—

Porcelana i jej historja

CHINY OJCZYZNA PORCELANIY. — JAK POWSTAŁA FABRYKA W MEISSEN. — FABRYKI PORCELANY W POLSCE. — KONKURENCJA CZECHOSŁOWACJI. — TRZY TYPY PORCELANY.

Ojczyzna porcelany — jak i tylu innych wynalazków — są Chiny, gdzie fabrykację jej rozpoczęto już w zaraniu naszej ery chrześcijańskiej.

A wyrabiano ją niemal wyłącznie w prowincji Kiang-si, w mieście Kin-te-czen, w okolicy którego znajdowały się bogate złoża Kaolinu. Prawdziwy jednak wielki rozwój tej gałęzi przemysłu datuje się dopiero od wieku XI., kiedy ówczesny cesarz Kang-hsi „upaństwowił" niejako te zakłady, tworząc z wyrobu porcelany monopol dworu cesarskiego.

Początkowo fabrykowano tylko porcelanę białą; w wieku XIV poczęli artyści chińscy stosować błękit kobaltowy do barwienia, by wkrótce już przejść do zdobienia wyrobów porcelanowych w bogatą, barwną ornamentykę, przyczem biel, błękit, zieleń i złoto grały dominującą rolę.

* * *

Pierwsze okazy porcelany chińskiej pojawiły się w Europie około połowy XV wieku, wywołując wszędzie zachwyt i żywe zainteresowanie. Próbowano odkryć tajemnice wyrobu. Początek dała Wenecja, gdzie już w XV wieku rozpoczęto wypalanie porcelany. W wieku siedemnastym słynie z wyrobu porcelany Ferrara, a okazy z tej epoki Medyceuszów mają dziś nieoszacowaną wartość.

Dopiero jednak u schyłku wieku XVII i na początku wieku XVIII. rozpowszechnił się wyrób porcelany w całej Europie.

Prym dzierży tu Saksonja ze swoją słynną fabryką porcelany w Meissen. Osobliwą jest historja tej fabryki. Oto niejaki Jan Boettger, z zawodu raczej alchemik niż chemik, pracował od szeregu lat w Berlinie nad odkryciem „Kamienia filozoficznego", czyli nad ową mrzonką, trapiącą przez wieki całe alchemików, — nad wytwarzaniem złota. Kiedy w Berlinie grunt mu się zaczął palić pod nogami, ucieka Boettger do Saksonji, oddając się pod opiekę elektora Fryderyka Augusta, późniejszego króla polskiego. Pracuje i tutaj nad fabrykacją złota, pracuje gorączkowo, przynaglany energicznie przez swego możnego protektora. I zupełnie nieoczekiwanie odkrywa pokłady doskonałego kaolinu z którego, również przypadkowo, udaje mu się wyprodukować porcelanę. Fryderyk August, jakkolwiek zawiedziony w swych nadziejach na złoto, zorjentował się w lot, że i wyrób porcelany może się stać prawdziwą kopalnią złota. Każe tedy zbudować w Meissen fabrykę porcelany, a Boettgera mianuje w r. 1708 jej dyrektorem.

I ta fabryka ulega „zetatyzowaniu"; tajemnica fabrykacji jest strzeżona bardzo ściśle, a wyroby fabrykacji w Meissen zdobywają światową sławę. Zwłaszcza owe „figurynki z saskiej porcelany", zdobiące do dziś dnia gablotki wszystkich muzeów całego świata.

* * *

Tajemnica jednak długo utrzymać się nie dała. Już w r. 1718 powstaje fabryka porcelany we Wiedniu, następnie w Kopenhadze, w Capo de Monte (koło Neapolu). — potem w Bow, Chelsea i Wedgwood w Anglii, a wreszcie w r. 1756 w Sèvres we Francji. Wszystkie te fabryki stoją od chwili ich założenia pod egidą odnośnych panujących. jako instytucje państwowe. A każda z nich specjalizuje się niejako w pewnym kierunku: czy to będzie porcelana stołowa, czy ozdobne wazony, czy cieniutkie, przeźroczyste niemal filiżanki, czy wreszcie figurki, sporządzone według wzorów najlepszych mistrzów, rzeźbiarzy i malarzy.

* * *

Nie pozostaje w tyle i Polska. W roku 1789 zakłada pierwszą fabrykę porcelany w Korcu na Wołyniu Józef ks. Czartoryski, a wyroby tej fabryki posiadają obecnie ogromną wartość muzealną.

Krótkie istnienie miały fabryki w Baranówce nad Stuczą (1805—1833) oraz w Tomaszowie lubelskim (1795—1815). Utrzymała się natomiast do dziś dnia i rozwija się nadal świetnie fabryka porcelany w Ćmielowie, założona w r. 1790, a rozszerzona w roku 1804 przez kanclerza Jacka Małachowskiego.

Wyroby tej fabryki, zupełnie zmodernizowanej i przystosowanej do dzisiejszych warunków i wymagań, cieszą się zasłużoną sławą i zdobywają coraz szersze rynki zbytu, nawet i poza granicami Polski.

Obecnie posiadamy w Polsce — oprócz Ćmielowa — dwie duże fabryki porcelany: Chodzież, wybudowaną pierwotnie za pieniądze Ostmark - Vereinu, a odkupioną następnie przez polskie kapitały, oraz Bogucice, wybudowaną już za czasów odrodzonej Polski.

Wszystkie te fabryki pracują w bardzo trudnych warunkach. Podstawowy surowiec, kaolin, zmuszone są sprowadzać z Czechosłowacji, istniejące bowiem w kraju na kresach wschodnich pokłady kaolinu nie mogą być dotąd eksploatowane dla braku odpowiedniej komunikacji. Na podrożenie kosztów produkcji wpływa też bardzo silnie koszt węgla i jego transportu. Dla porównania przytaczamy, że węgiel angielski, sprowadzany drogą wodną, kalkuluje się loco Poznań o 30% taniej od węgla górnośląskiego.

W interesie zatem utrzymania tej gałęzi przemysłu koniecznem jest wydatne obniżenie kosztów przewozu surowca i węgla oraz ceny tego ostatniego.

A to tem bardziej, ile że przemysł nasz ma na rynku wewnętrznym groźnego konkurenta w Czechosłowacji, gdzie rząd przyznaje fabrykantom ogromne ulgi wywozowe, a sama produkcja kalkuluje się znacznie taniej i korzystniej.

*

We fabrykacji porcelany rozróżnić można trzy zasadnicze typy:

1) porcelana twarda, prawdziwa, z kaolinu i szpatu polnego;

2) porcelana miękka angielska, z kaolinu kornwalijskiego, krzemienia i popiołu kostnego;

3) porcelana miękka francuska, ze stopu krzemianu metali i ziem alkalicznych.

Są to składniki zasadnicze. Do nich dochodzą jednak rozmaite dalsze, uboczne składniki, jak kwarzec, kreda, gips, granit, marmur itp., których dodatek odgrywa ważną rolę w kolorze, przezroczystości i jakości porcelany.

W jakim stosunku składniki te mają być domieszane, to już jest tajemnicą każdej fabryki, tajemnica pilnie strzeżoną, a znaną tylko małej garstce fachowców.

Oczywiście stosunek ten ulega zmianom, zależnie od celów, do jakich porcelana jest przeznaczona. A obecnie porcelana znajduje zastosowanie bardzo różnorodne — od artystycznych figurek aż do izolatorów i sprzętu technicznego dla celów wojskowych.

Dlatego też ta gałąź rodzimego przemysłu zasługuje na najżywsze poparcie zarówno ze strony czynników rządowych jak i całego społeczeństwa.

Jak Francuzi dumni są ze swej fabryki w Sèvres, a Niemcy z Meissen, taksamo i my powinniśmy dążyć do stworzenia swoistego charakteru naszego przemysłu porcelanowego, któryby świadczył o naszej rodzimej kulturze.

(k. r.)

Wyspiański po angielsku

Kilkakrotnie już pisano w języku angielskim o autorze „Wesela". Torował mu drogę prof. Dyboski w swoich wykładach polonistycznych, potem mówiły o nim szkice w „The Slavonic Review" prof. Srebrnego i pani Gardner. W tym zaś roku przybyły tu nowe pozycje. Oto ze szkoły amerykańskiego slawisty prof. G. R. Noyes'a wyszedł staranny przekład „Protesilasa i Laodamji" wydany w „The Slavonic Review" a prof. W. Borowy poprzedził tekst syntetycznym szkicem o Wyspiańskim, gdzie w sposób bardzo umiejętny, wolny od wszelkiego balastu, twórczość poety w zasadniczych jej rysach przedstawił. Szkic ten i przekład wyszły też w osobnej odbitce.

—o—

Gazy trujące i wojny gazowe

HISTORJA SIĘ POWTARZA. — GAZY BOJOWE I ICH DZIAŁANIE. — METODY WALKI. — SPOSOBY OBRONY.

Nil novi sub sole.. Stara ta maksyma zastosowaną być może z pełną słusznością, o ile idzie o historję wojen gazowych.

Faktycznie bowiem już w V wieku przed Chrystusem Spartanie przy oblężeniu Platei posługiwali się faszynami nasyconemi smołą i siarką, a płomienie i duszący dym, wydobywający się z nich, wzniecając popłoch u oblęganych, ułatwiły oblęgającym wdarcie się na mury miasta.

O prawdziwych „miotaczach płomieni" wspomina Tucydydes w swojej „Historji wojen peloponeskich". Podobną wzmiankę spotykamy też u naszego Długosza, który opowiada, że w bitwie pod Legnicą w r. 1241 jeden z wodzów trzymał umocowaną na wysokiej żerdzi „szpetną głowę, z której przy potrząsaniu nią wydobywały się gęsta para i tak smrodliwy wyziew, że Polacy mdlejący i ledwo żywi niezdolnymi się stali do walki".

Król szwedzki, Karol XII umiał już urządzać sztuczne zasłony gazowe, każąc palić duże ilości mokrej słomy, z której gęsty dym, pędzony pomyślnym wiatrem, zasłonił zupełnie pole widzenia wojskom saskim, umożliwiając królowi i jego wojskom przeprawę przez rzekę.

O gazach trujących myśleli alchemicy niemieccy już w XV i XVI wieku, proponując posługiwanie się arszenikiem w odpowiedniej kompozycji. W wieku XVII chemik niemiecki, Glauber, wynajduje bomby palące i dymiące, stosowane następnie w walkach z Turkami.

Wreszcie podczas wojny Krymskiej pewien oficer angielski, nazwiskiem Dundonald wystąpił z projektem zdobycia słynnej reduty Malachowa zapomocą okurzania Rosjan gazami spalonej siarki i smoły. Projekt ten rząd angielski odrzucił, uważając podobny sposób walki za nieszlachetny i nie rycerski.

I znowu w roku 1870 pewien aptekarz niemiecki przedłożył projekt sporządzania pocisków napełnionych weratryną, silnie trującym alkaloidem. Projekt niezrealizowany głównie dla wysokiej ceny i małej produkcji tej trucizny.

Dopiero konwencja haska z dnia 29. lipca 1899 położyła, coprawda teoretycznie tylko, kres wojnie gazowej; wszystkie bowiem państwa europejskie zobowiązały się wówczas nie używać w walce pocisków, zawierających gazy trujące lub duszące...

Ale konwencję tę złamali pierwsi Niemcy. Oto dnia 22 kwietnia 1915, koło godziny 5 popołudniu dywizja francuska, stojąca między Bixschotte a Langemark w Belgji, zauważyła gęstą falę ciężkich, żółtawych dymów, gnaną wiatrem od pozycyj niemieckich w jej kierunku. Pierwszy ten atak gazowy, zupełnie nieprzewidziany, przyprawił Francuzów o ciężkie straty: zgórą 5000 żołnierzy zginęło na miejscu, a drugie tyle uległo ciężkiemu zatruciu. Front sprzymierzonych został odrazu przerwany na 8 kilometrów wgłąb.

Od tego też dnia datuje się właściwy początek wojny gazowej w dzisiejszem tego słowa znaczeniu.

*

Zastanówmy się obecnie, co to są owe „gazy bojowe". — Mianem tem określamy substancje chemiczne, stosowane we formie czysto gazów czystych, czy odpowiedniej mieszanki, czy wreszcie płynów rozlewanych lub rozpylanych, które atmosferę zatruwają lub uniemożliwiają oddychanie.

Zasadniczo dzielą się one na dwie grupy: 1) **gazy lekkolotne** i 2) **gazy trudnolotne i trucizny płynne.**

Ta druga grupa ma zastosowanie przy tworzeniu tzw. **plam chemicznych**, polegających na tem, że pewien odcinek terenu lub pewne objekty polewa się lub skrapia płynami trującemi, które stopniowo parując zatruwają powietrze, czepiają się odzieży i obuwia, wywołują ciężkie oparzenia i zakażają wszelkie produkty spożywcze. Dlatego ten rodzaj walki jest szczególnie niebezpieczny, stosowane bowiem przy tem trucizny bojowe, przy odpowiednich warunkach, parują bardzo powoli i działają przez szereg dni.

Natomiast gazy lekkolotne używane były przez artylerję w wypadkach, gdy szło o efekt natychmiastowy, piorunujący, o zdobycie jakiejś ważnej pozycji.

Zależnie od działania gazów na organizm ludzki podzielić można wszystkie trucizny bojowe na następujące kategorje:

1) trucizny duszące,
2) trucizny drażniące,
3) trucizny parzące (skórne) i
4) trucizny o działaniu ogólnem (gazy trujące).

Trucizny **duszące**, działając na system oddechowy, wywołują gwałtowny kaszel, w ślad za czem nastąpić może śmierć z uduszenia, połączoną z obrzękiem płuc. Do tej grupy należą: chlor, fosgen, chloropikryna i pokrewne związki. Najgroźniejszym z nich jest fosgen $COCl_2$, ciecz bezbarwna, o zapachu przypominającym zapach zgniłego siana lub zbutwiałych liści. —

Stosowany był w połączeniu z chlorem, od którego jednak działa 8 razy silniej. Fosgen rozkłada się bardzo szybko w wodzie gorącej, a traci swe własności trujące, wstępując w reakcję z urotropiną.

Podobne działanie posiada i **chloropikryna** CNO_2Cl_3, ciecz oleista, o zapachu przypominającym ananas, parująca bardzo powoli. Wszystkie niemal trucizny bojowe zawierają duży procent chloru, który działa też równie szkodliwie na broń i amunicję, wywołując rdzewienie.

Trucizny drażniące dzielą się na **lakrymatory i sternity**. Pod wpływem lakrymatorów następuje silne podrażnienie oczu, połączone z obfitem łzawieniem, tak że człowiek przez dłuższy czas nic wogóle nie widzi. Są to przeważnie rozmaite związki bromu.

Druga grupa, sternity, są pochodnemi chlorku arsenu. Działają one na błonę śluzową nosa i górne drogi oddechowe, wywołują gwałtowne kichanie, krwawienie z nosa i silne bóle głowy. Zakażają też środki żywności. Najgroźniejszym z tej grupy jest **adamsyt**, ciało stałe, który przenika przez wszystkie używane dotąd maski gazowe, powodując ich zrywanie, skutkiem czego nastąpić może zatrucie innemi gazami, specjalnie w tym celu użytemi.

Z pośród trucizn parzących (skórnych) na specjalną wzmiankę zasługuje **iperyt**, nazwany tak z tego powodu, że poraz pierwszy zastosowany był przez Niemców pod Ypres, dnia 12 lipca 1917.

Iperyt, ciecz ciemno-brunatna, o zapachu przypominającym musztardę (stąd Anglicy nazywali go „gazem musztardowym") jest siarczanem dwuchloretylu. Działanie jego jest szczególnie niebezpieczne z tego względu, że oparza on skórę, przenikając przez ubranie i obuwie. Zatruwa on również i środki spożywcze, tak, że spożywanie tychże powoduje groźne oparzenia przewodu pokarmowego.

Objawy zatrucia iperytem są bardzo charakterystyczne: podrażnienie oczu, połączone z zapaleniem spojówki i rogówki, katar i gwałtowny kaszel, następnie silne swędzenie i zaczerwienienie skóry, bardzo bolesne. Na skórze tworzą się obrzęki i duże pęcherze. W dalszym przebiegu zatrucia nastąpić może zapalenie płuc, kończące się zwykle śmiercią.

Niemniej groźną trucizną jest **luizyt**, zwany przez żołnierzy amerykańskich „rosą śmierci", połączenie trójchlorku arsenu z acetylenem i trójchlorkiem glinu. Działa on zarówno na skórę jak i na płuca i nerki.

Z trucizn o działaniu ogólnem wymienić należy tlenek węgla i kwas pruski, — obie te trucizny jednak, jako lżejsze od powietrza, nie znalazły szerszego zastosowania w wojnie światowej.

*

Stosuje się te gazy trujące w rozmaity sposób. A więc przedewszystkiem we formie **fal gazowych**, przyczem wykorzystuje się pomyślny wiatr wiejący w kierunku linii nieprzyjacielskich, — wiatr ten jednak musi mieć szybkość nie mniejszą jak 1 m., a nie większą jak 3 m. na sekundę. Zasięg takiej fali gazowej (którą tworzyć mogą tylko gazy cięższe od powietrza) wynosi około 30 kilometrów.

Ponieważ fala gazowa, przy nagłej zmianie kierunku wiatru, może stać się niebezpieczną dla tych, którzy ją puścili, a zastosowanie fali gazowej możliwe jest tylko w pewnych specjalnych warunkach, zatem podczas ostatniej wojny zaczęto wkrótce stosować inne metody walki gazowej.

O **plamach chemicznych**, czyli zatruwaniu terenu przez polewanie go płynną trucizną, pisaliśmy już powyżej.

Pozatem stosowano w walce rozmaitego rodzaju **pociski artyleryjskie**, napełnione trującemi gazami, które przy eksplozji wytwarzały również falę gazową. Napełnianie tych pocisków jest rzeczą trudną i delikatną, wymagającą ogromnych ostrożności, zwłaszcza o ile idzie o gazy łatwo się ulatniające, jak np. fosgen.

Najgroźniejszym wreszcie środkiem walki gazowej, zagrażającym zwłaszcza ludności cywilnej, jest **zrzucanie z samolotów bomb gazowych**. Środek ten nie był zupełnie stosowany podczas wojny światowej, prawdopodobnie z obawy przed możliwemi represaljami, — niewątpliwie jednak ten właśnie sposób walki może w przyszłości odegrać pierwszorzędną rolę.

Niszczenie ośrodków przemysłowych, przerywanie komunikacji, zakażanie środków żywności, — wszystko to może łatwo wywołać panikę na tyłach armji.

Z tem wszystkiem trzeba się zawczasu poważnie liczyć i obmyśleć skuteczne środki obrony. Bo przyszła wojna chemiczna będzie straszna i bardzo niebezpieczna tylko wówczas, gdy ludność nie będzie do niej należycie przygotowana.

Prawda, że niewielka stosunkowo ilość np. fosgenu wystarczyłaby dla wytrucia ludności całej Warszawy, ale jest to możliwość tylko teoretyczna. Praktycznie sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej.

*

Obrona przeciwgazowa ma podwójny charakter: **aktywny i pasywny.**

Pod pierwsze pojęcie podpadają **eskadry samolotów myśliwskich**, których zadaniem jest atakowanie pojawiających się samolotów nieprzyjacielskich i niedopuszczenie ich w głąb kraju. Ogromnie doniosłą rolę odgrywa tu również artylerja przeciwlotnicza, dzielnie wspomagana przez specjalne **aparaty podsłuchowe**, sygnalizujące zbliżanie się każdego samolotu nieprzyjacielskiego. W nocy potężne **reflektory świetlne** przeszukują horyzont i biada samolotowi, który dostanie się w obręb ich światła! Używane obecnie np. w Anglji projektory, o sile 3 miljonów świec, tworzą na ciemnem tle nieba formalną olbrzymią świetlaną kratę, pozwalającą nietylko zauważyć natychmiast każdy obcy samolot, ale i ustalić najdokładniej miejsce, w którem się on znajduje w danej chwili.

Obrona **pasywna** polega na ochronie czysto pojedynczych osób, czy większego zbiorowiska ludzkiego przed zatruciem gazami.

Dla ochrony zbiorowej używa się specjalnie do tego celu wybudowanych schronów, tj. izb, szczelnie izolowanych, położonych możliwie na wyższych piętrach, gdyż stężenie gazów trujących z reguły na samym dole jest największe. Można do tego celu użyć zwyczajnej izby mieszkalnej, dość obszernej, o możliwie małej ilości drzwi i okien. Wszystkie szpary we drzwiach oknach, piecach i t. p. muszą być uszczelnione kitem, gliną, szmatkami itp. Odświeżanie powietrza następuje zapomocą ręcznego wentylatora, który wciąga je przez filtr ziemi humusowej.

Ochrona indywidualna polega na zakładaniu odpowiednich **masek**, dwojakiego typu: **filtracyjnych i izolacyjnych.**

Maski filtracyjne mają za zadanie pochłanianie, względnie unieszkodliwianie wdychiwanych gazów trujących, — przyczem znakomite usługi oddaje odpowiednio spreparowany węgiel drzewny, którego pory wchłaniają gaz. W Polsce używane są maski typu R. S. C. (Respirator Special Chemique), w których pochłaniacz przyśrubowany jest z boku i na dole, a nie w środku, jak przy maskach innych typów. Ma to te dobrą stronę, że opierając go o piersi, zmniejszamy znacznie ucisk taśm, przytrzymujących maskę, na skórę głowy.

Gdzie zwykła maska izolacyjna nie wystarcza, — np. przy pracy na otwartem powietrzu, przesyconem silnie stężonym gazem, — tam używa się maski izolacyjnej. Jest to poprostu aparat tlenowy, doprowadzający automatycznie z butli potrzebną do oddychania ilość tlenu, a izolujący człowieka zupełnie od otaczającej go atmosfery.

Uzupełnieniem obrony pasywnej są odpowiednie ubiory, posiadające możliwie mało szwów, a nasycone pokostem i łojem. Na ręce wkłada się rękawice, na nogi specjalne buty o drewnianych podeszwach.

Jak z tego wynika, ludzkość zdołała szybko znaleźć odpowiednie środki obronne przed trującemi gazami. Dla ilustracji niechaj posłuży fakt, że po zastosowaniu po raz pierwszy iperytu chemicy francuscy w ciągu sześciu dni zdołali nietylko wykryć skład chemiczny tej silnej trucizny, lecz i znaleźć odpowiednie środki chemiczne dla zneutralizowania jej działania.

Doceniając w całej pełni grozę przyszłej wojny gazowej, dążyć powinniśmy do tego, by całe społeczeństwo było zawczasu należycie uświadomione pod tym względem, — a wówczas i obrona przed tym groźnym wrogiem będzie skuteczniejsza i łatwiejsza.

(k. r.)

Polonica zagranicą

Nakładem Koła Polsko — Jugosłowiańskiego w Skoplje w Jugosławji, wydana została opracowana przez Aleksego Jelacica historja Polski po serbsku pt. „Istorolja Poljske".

—o—

Umiłowana siedziba Króla Jana

Tytuł i ambicja Lwowa, mianującego się miastem Króla Jana ma pełne uzasadnienie w historji dziejów Lwowa i życia wielkiego Króla.

„Dzieckiem był prawie naszego miasta, — pisze niezapomniany Franciszek Jaworski w swojej książce „Królowie polscy we Lwowie" — obywatelem, właścicielem realności na rynku lwowskim i sąsiadem na Żółkwi, Olesku, Jaworowie. I przyjacielem był stolicy czerwono - ruskiej od dziada, pradziada i znajomym dobrym, a późniei obrońca protektorem, królem najjaśniejszym".

Ojciec Jana Sobieskiego, kasztelan krakowski Jakób przebywał we Lwowie pod Wysokim Zamkiem na górnej jurydyce po dziś dzień nazywanej Sobieszczyzna. Późniei stał sie właścicielem największej w tych czasach a także najpiekniejszej w rynku lwowskim kamienicy, siedziby Konstantego Korniakta. Jakób Sobieski ufundował we Lwowie kościół i klasztor Karmelitanek bosych i tu wreszcie zamknał na wieki oczy w r. 1647.

Syn Jakóba — Jan przebywał często we Lwowie. W r. 1652 leżał tu ciężko chory w kamienicy ojca, a po wyzdrowieniu ufundował wota Matce Boskiej Domagaliczowskiej. W siedm lat później, a więc w r. 1659 Jan Sobieski własnym sumptem stawia szpital Bonifratrów na Łyczakowie — mieszczący obecnie garnizonowy szpital wojskowy.

W r. 1665 spotykamy przyszłego Króla we Lwowie, gdzie zdala od zgiełku ludzkiego w murach klasztornych Karmelitanek bosych, rozmarzony i samotny Jan Sobieski pisze tęskne i gorące listy do codopiero poślubionej swojej Marysieńki. Również i w roku następnym, bo 1666 Sobieski przybywa znowu do Lwowa i w zacisznej celi przyjaciela ks. Bernarda Żółkiewskiego Jezuity szuka spokoju po ostatnich zamieszkach w kraju. — Kronikarz notuje, że samotnię swą opuszczał Sobieski tylko dla załatwienia sprawunków żony i notuje, że kupił wówczas dla Marysieńki czapkę białą aksamitną z futrem sobolem, przyczem „namęczył się z krawcem jak z niedźwiedziem". A kiedy pisał o tem do żony, to zaznaczył zalotnie, że wybrał dla niej „futra szlamowego lisiego błam nieszpetny, oraz wilczych ogonów błam na wór dla zagrzania ślicznych nóżek Waszmości serca mego".

Od stycznia 1667 niemal przez trzy miesiące przebywa przyszły zwycięzca i triumfator razem z ukochaną Marysieńką we Lwowie, a przy boku małżonki, którą ubóstwiał płynęło hetmanowi życie słodko i pięknie. Cóż z tego jednak, kiedy płocha i lekkomyślna Francuzka opuszcza nagle strapionego wyjazdem jej męża i udaje się — będąc do tego w odmiennym stanie — ze Lwowa wprost do Paryża.

Hetman Sobieski pozostawiony w żalu i goryczy zamawia Msze św. na pomyślność Marysieńki, a równocześnie oddaje się namiętnie pracy nad obmyśleniem wypłaty zaległego żołdu: od rana do nocy przebywa w tym okresie w ratuszu lwowskim, gdzie „słońca prawie nie widzi i nie wie, co sie na świecie dzieje".

W tym czasie przypada zwycięstwo przyszłego Króla pod Podhajcami, które go jednak zwala z nóg i rzuca na łoże boleści. Wszyscy opiekuja się chorym hetmanem i prześcigaja w pamięci i usłużności. Chory donosi, że cieszy sie pewszechną sympatją otoczenia, przyczem ks. Stanisław Solski płakał, ażali czasem nie kocha Sobieskiego wiecej, niźli siebie samego.

W rok późniei zapadła we Lwowie na ospe Marja Kazimiera i mały Jakóbek. Sobieski z drobiazgowością i „gadatliwością starej kumoszki" — jak żartobliwie pisze Jaworski — opisuje chorobe Marysieńki, wyrażając, jak dziecko, największą uciechę z tego, że ospa na obliczu Marysieńki „ani jednego dołeczka" nie zostawiła, co czuły i troskliwy małżonek przypisał znakomitym lekarstwom mistrzów lwowskiej medycyny. Leczono zaś przyszła królowa „stara słonina z mlekiem" oraz „pewna wódka" do zmywania czerwonych plam.

Z kolei w 1671 zapadł znowu Sobieski na gardło, tak, że „piwa nawet połykać nie mógł", ale silny organizm wytrwał, chociaż ukochanej żony nie było przy boku, a kiedy w czasie choroby hetman dowiedział się, że z orszakiem zbliża się ku Lwowowi — wyrwał sie z łoża i pojechał naprzeciw aż do Jaworowa, gdzie naturalnie musiał ulec i wrócić z powrotem do łóżka.

Nadszedł rok 1672. Hordy Kapadana paszy zbliżały sie powoli pod mury miasta. Mieszczaństwo i rycerstwo w rece hetmańskie złożyło swoje losy. Jan Sobieski nie zawiódł. Kiedy w dniu 17 grudnia 1673 zwycieski hetman wjeżdżał z powrotem w rogatki miejskie sprawiono mu wojenne przyjęcie, jak triumfatorowi.

W pięć miesięcy późnie hetman był już Królem Rzeczypospolitej. Jednym z pierwszych aktów nowego Króla było uwolnienie mieszczan lwowskich od wszystkich podatków królewskich na lat dziesięć z honorowym dopiskiem w przywileju: „za okazaną wierność, mężną i dzielną obronę w resystencji potężnemu nieprzyjacielowi".

Król Jan główną uwagę we Lwowie poświęcił fortyfikacjom. Pod jego niejednokroć osobistym nadzorem i kierunkiem zdolny i słynny inżynier forteczny Jan Berens poprawia baszty, mury i fory oraz buduje „wielki beluard", który znajdował się u wylotu dzisiejszych Wałów Gubernatorskich.

Jak przewidujące i potrzebne były te zabiegi zaświadczyła wojna, która wybuchła w 1675 na wiosnę. 180-tysiączna armja Ibrahima Szyszmana, baszy Alepu szła na Lwów. W dniu 18 lipca przybył tu sam Król Jan III. Bitwę wyznaczył na polach leżacych dziś koło cmentarza łyczakowskiego.

Sam pilnował i kierował pośpieszna budowa robót fortyfikacyjnych nocując poza miastem w „ogrodzie kapuścianym" obok dzisiejszej cerkwi św. Piotra i Pawła. Nocleg był nielada ryzykiem, skoro pewnej nocy wilki wtargnęły do namiotu królewskiego i zagryzły na śmierć pacholika pilnującego snu królewskiego. Sam król uniknał śmierci tylko dzieki temu, że się na czas wskutek krzyku obudził. Takie to niebezpieczeństwa groziły wówczas w ludnej dziś okolicy górnego Łyczakowa.

Królowej Marysieńki nie było przy Królu. Wraz z dziećmi przebywała w Jarosławiu, a stęskniony Król Jan chadzał na Wysoki Zamek i — jak pisał w liście — uważał „długo zachodzące nad Jarosławiem słońce i w tamtą stroną biegnące obłoczki. O jakożem życzył obrócić się w jaka kropelkę deszczu, albo rosy, a spaść na najśliczniejszą buzienkę Waszmości".

Nic też dziwnego, że rozczulona widocznie tęsknotą męża Królowa przybywa nagle w dniu 20 sierpnia do Lwowa i oświadcza, że pozostanie i wytrwa przy jego boku.

W cztery dni później trwoga ogarnęła miasto. Noradyn Sołtan z Adży - Gorajem Sołtanem na czele przedniej straży wielkiej armii w sile 20 do 40 tysięcy ludzi — zbliżali sie pod Lwów. Król Jan z dzisiejszego „Kaiserwaldu" układał plan bitwy i obserwował groźnego nieprzyjaciela.

Około południa w dniu 24 sierpnia chorągwie polskie natarły na siłe turecka pod Lesienicami, w wawozie, a o sile natarcia i zwycięstwa świadczy fakt, że Noradyn Sołtan w ucieczce zatrzymał się dopiero w Jeziernej tj. około ośm mil od Lwowa. Dzieła tego dokonała jazda polska w sile 4 tysięcy żołnierza pod wodza Króla Jana. Radości i szczęściu miasta nie było tego dnia końca.

Witał Lwów jeszcze ukochanego Króla, kiedy wracał potem po zwycięstwie pod Żurawnem, poczem nastapiło siedm lat wytchnienia, przerwanego tylko hucznem weseliskiem na dworze królewskim, jakie sprawiano siostrze Marji Kazimiery z Janem Wielopolskim, podkanclerzem koronnym w dniu 18 czerwca 1677 r. Było potem tych uroczystości wiecej; Król Jan przebywał we Lwowie często zawsze będąc serdecznym ojcem i opiekunem miasta i mieszczan.

Po raz ostatni wielki Król bawił w swojem mieście w r. 1694. W dwa lata później niesprawiedliwa śmierć zabrała go z tego świata. „Zamknęła się — pisze Jaworski — ostatnia karta świetności i dobrobytu naszego miasta".

(kh).

Warszawa -- N. Jork w 30 godzinach

(Realizacja linji lotniczej między obu półkulami)

Tak, w 30 godzinach, a może jeszcze prędzej!

Nie mamy czasu, musimy się śpieszyć! Życie ludzi współczesnych jest tak tanie, a równocześnie tak drogie... Zrozumcie to!

W chwili kiedy uderzam w klawisze mego „Remingtona", na drugiej półkuli, w Nowym Jorku, sztab ekspertów *„Pan American Airwais"* pilnie zestawia obserwacje nad lotem eskadr włoskich z Europy do Ameryki.

A równocześnie nad Grenlandją rozlega się huk silnika: to *Lindbergh* (znacie go) startuje do dalszego lotu, który ma na celu już nie zdobycie rekordu, ale zbadanie możliwości urządzenia regularnej linji komunikacyjnej między Nowym a Starym Światem.

W ten sposób „Pan American Airwais" uzyska dokładne informacje, dotyczące szczegółów swego wspaniałego przedsięwzięcia.

Sama budowa linii jest już zadecydowana; chodzi tylko o termin jej otwarcia" oraz o rozwiązanie rozmaitego rodzaju problemów technicznych.

Przedewszystkiem należy pomyśleć o budowie „przystanków", które nietylko zapewniłyby bezpieczeństwo „skoku" przez Atlantyk, ale równocześnie zapewniły maksymalną sprawność funkcjonowania linji. Wspomniane towarzystwo, które ma zamiar eksploatować transoceaniczną linię powietrzną, zamierza tymczasowo zbudować na trasie lotu pływające bazy podstawowe w postaci stale krążących po oznaczonej okolicy oceanu okretów.

Przypomnieć należy, że linja powietrzna między Ameryką a Afryka posiada już tego rodzaju „przystanek", który zadanie swe spełnia w zupełności.

Jest to okręt zaopatrzony w zapasy benzyny i oliwy lotniczej, dalej w części zapasowe, stację radjową, itp.

Najważniejszym jednak przyrządem jest kawał olbrzymiego płótna, rozpiętego nad falami, które umożliwia samolotom lądowanie, a hydroplanom wodowanie. Start odbywa się w sposób, że samolot wyciągnięty uprzednio na pokład okrętu przy pomocy żórawia, zostaje wyrzucony przez specjalnie skonstruowaną, a niezawodnie funkcjonującą katapultę, używana od długiego już czasu przez okręty wojenne, posiadające do swej dyspozycji samoloty t. zw. myśliwskie.

Ale tego rodzaju prowizoryczne „przystanki" nie mogą zadowolić przedsiębiorczych jankesów. Dlatego też zamierzają zrealizować pomysł sztucznych wysp, które posiadałyby powierzchnie twarde dla lądowania samolotów oraz teren dla wodowania hydroplanów, które następnie chroniłyby się w „sztucznej zatoce" sztucznej wyspy".

Inna rzecz, że realizacja tego pomysłu kosztuje drogo, za drogo. Nawet dla amerykańskich bogaczy... W porównaniu bowiem ze sztuczną wyspą okręt-wyspa kosztuje o wiele mniej skoro na ten cel użyty być może „przechodzony" okręt handlowy, posiadający stosunkowo małą załogę.

Niech nas zresztą o to głowa nie boli...

Faktem jest, że o ile Lindbergh wyda dodatnią opinję o trasie północnej (Islandja, Labrador, Alaska), która leciały eskadry włoskie, korzystając z dobrze zorganizowanej sieci baz lotniczych — wówczas można się spodziewać uruchomienia linji lotniczej między Paryżem a N. Jorkiem w najbliższych miesiącach.

Rzecz jasna, że nie jest to trasa najkrótsza, bo przebycie jej wymaga 4—5 dni. Po wybudowaniu jednak sztucznych wysp, umożliwiających przelot etapami z N. Jorku do Paryża wprost przez Ocean Atlantycki, czas ten ulegnie skróceniu do 30 godzin!

A o tem, zdaje się, dziadziowi Vernemu nawet się nie śniło...

—::—

Obrazki z Tunisu

Odchodzący z Marsylji statek Franc. T-wa Okr. Cie Generale Transatlantique po 30 godzinach podróży wzdłuż zachodnich wybrzeży Korsyki i Sardynji, zawija do portu Tunisu. Uderzającem Europejczyka wrażeniem w zetknięciu się tutaj z ziemią afrykańską, jest niewątpliwie biały kolor tego miasta. Nie tylko mury domów arabskich pokryte wapnem, oraz minarety świątyń, lecz również odzież mężczyzn i kobiet — wszystko jest białe lub blado żółte, jak piaski pustyni; to też słusznie nazwali Francuzi Tunis „la blanche", — białe miasto. W porcie wielka ilość i nędzny wygląd posługaczy Arabów, niecierpliwie czekających na spuszczenie pomostu i wydzierających przyjezdnym walizki, ofiarowując odniesienie ich za skromną opłatą, nasuwa myśl, że bieda tu raczej panuje, niż dobrobyt. W rzeczywistości jednak tak nie jest.

BOGACTWA MINERALNE I „COLONI"

Tunis pozostający od r. 1881 pod protektoratem Francji, w którym również silnie występują wpływy włoskie, jest krajem bogatym, rolniczym, opartym jednak głównie na eksploatacji kopalń fosfatu i cynku. Pod względem rolniczym Tunis eksportuje zboże, oliwę, figi, daktyle banany i t. p. Tak eksploatacja bogactw mineralnych, jak i handel produktami rolnemi pozostaje wyłącznie w rękach Europejczyków, głównie Francuzów, którzy wrodzoną praktycznością i energją, a niewątpliwie i kapitałami zepchnęli Arabów na drugi plan, tak, że ludność miejscowa oprócz zamożnych rodzin żyje z drobnego handlu i pracy fizycznej. A że lenistwo, do którego w wielkiej mierze przyczynia się gorący klimat, jest cechą charakteryzującą Arabów, więc i wymagania ich są skromne, przyczem bynajmniej nie krępują oni Europejczyków w ich poczynaniach handlowych lub przemysłowych. Władze francuskie bardzo faworyzują osiedlanie się Europejczyków w Tunisie; i tak np. odnośnie do bogactw mineralnych kraju, każdy może na własną rękę próbować szczęścia jako poszukiwacz, przyczem odnośne zezwolenia władz nie są ograniczone. W razie pomyślnego wyniku — co się jednak nie często zdarza wobec tego, że Tunis jest obecnie pod względem geologicznym już wcale dokładnie zbadany, odnośny teren kopalniany zostaje własnością poszukiwacza, który obowiązany jest zapłacić rządowi francuskiemu wartość objętego terenu tylko po cenie ziemi rolnej, a więc przystępnej i to na dogodnych warunkach. Oczywiście niezależnie od tego idą opłaty przemysłowe i dopiero po roku wolnej eksploatacji zaczynające się podatki. Przed kilku laty pewne T-wo Francusko-Belgijskie rozpoczęło w Tunisie poszukiwania za naftą które jednak nie dały pozytywnych rezultatów: wówczas dwóch inżynierów tego T-wa zaczęło na własną rękę poszukiwania za wodą. Brak bowiem wody jest formalną klęską gospodarki rolnej w Tunisie. W ciągu dwóch ostatnich lat spadł tylko cztery razy deszcz, co prawda tak ulewny, że wszelka komunikacja ustała na przeciąg kilkunastu godzin, nazajutrz jednak rano nie pozostało po nim śladu. To też najgroźniejszym wrogiem rolnictwa jest nieubłagane słońce. W zimie klimat jest w Tunisie taki jak u nas w miesiącach letnich, w lecie zaś temperatura dochodzi do 50 stopni w cieniu, co w połączeniu z „sirocco" daje obraz tamtejszych warunków klimatycznych. Ziemia jest łatwa do nabycia, i tania, rolnictwo jednak wobec posuchy, ryzykowne. Kto osiedlając się trafi na rok względnie deszczowy, temu pierwszy zbiór przyniesie tyle, że nie obawia się następnych dwóch, nawet trzech lat posuchy. Jeżeli jednak rzecz się ma odwrotnie, wówczas skwar słoneczny niszczy wszystko u samego początku. I tak zwiedzając głąb kraju spotyka się nieraz w zalanem słońcu pustkowiu piękny, w nowoczesnym stylu zbudowany pałacyk, urządzony z prawdziwym komfortem. Jest to siedziba „colona" który miał szczęście i zrobił majątek. A o kilka mil dalej w takiem samem pustkowiu stoi walący się jakiś z desek sklecony barak: czasem tylko ciągnące na wielbłądach karawany zatrzymują się obok, by spożyć posiłek. Smutna, opuszczona siedziba początkującego „colona", którego pracę i ostatnie może nadzieje, spaliło bezlitosne słońce.

JAK „ZROBIĆ MAJĄTEK"?

Trudne warunki klimatyczne przyczyniają się niewątpliwie do bardzo nieznacznej emigracji Polaków do Tunisu. Jest ich tam bardzo niewiele, wyłącznie robotnicy kopalniani i rolni, sprowadzani w miarę zapotrzebowania przez Francuski Urząd Imigracyjny z Francji. Miałem raz sposobność spotkać się z naszymi ludźmi, zaproszony na tłumacza w sprawie pewnego nieporozumienia między robotnikiem Polakiem a francuskim „colonem", które szczęśliwie zakończyło się obopólną zgodą. Dla ludzi nieposiadających kapitału nie jest Tunis krajem interesującym: płace równają się płacom we Francji, klimat natomiast w lecie jest trudny do zniesienia. Kto jednak rozporządza pewnym kapitałem ten zastosowawszy życie i mieszkanie do warunków klimatycznych, może stworzyć sobie egzystencję bardziej spokojną niż w Europie. Interesującym w tym względzie jest handel oliwą i mydłem, małe kawiarnie w rodzaju francuskich barów, następnie fabrykacja napoji w rodzaju francuskich „aperitifs", co do której niema ograniczeń, a które zgóry mają zbyt zapewniony. Jednym z najlepszych interesów jest ponadto dostawa środków żywności do kopalń, leżących w centrum i na południu kraju. Dostawy te odbywają się samochodami ciężarowemi przyczem trudności drogowych nie ma żadnych, gdyż kultura francuska wyposażyła Tunis we wspaniałe, asfaltowe gościńce, jakich darmo by szukać w pewnych krajach Europy centralnej. Zyski z tego przedsiębiorstwa sięgają 70 do 100 proc.; idzie tylko o zapewnienie sobie zbytu w danych kopalniach, co niezawsze jest łatwem.

DZIELNICA ARABSKA

Z punktu widzenia turystyki jest Tunis krajem bardzo ciekawym. Najoryginalniejszą cechą arabskiej dzielnicy miasta Tunisu jest dzielnica wyrobów krajowych t. zw. „souks". Składa się ona z licznych krętych i wąskich uliczek, o kamiennych sklepieniach, chroniących przed skwarem słonecznym, tak, że nawet podczas „sirocca" jest w „souks" względnie chłodno. Po obu stronach uliczek ciągną się niezliczone „koje", warsztaty wschodniego przemysłu i ogniska handlu. Tu, wschodnim zwyczajem siedzący Arabi sporządzają wspaniałe dywany, wschodnie perfumy, oryginalne wyroby skórzane, przepiękne makaty, wyroby jubilerskie — wszystko, co stanowi charakterystyczną i wyłączną cechę krajowego przemysłu. W starożytności odbywał się na miejscach dzisiejszych „souks" handel niewolnikami, obecnie centralizuje się tu krajowy przemysł, przewyższając oryginalnością bazary Konstantynopola i Kaira stanowiąc przytem główną atrakcję zwiedzających Tunis turystów. Od wczesnego ranka przez cały dzień panuje tu wschodni zgiełk i wrzawa, przy akompanjamencie krzyków ulicznych handlarzy daktyli, fig i oliwek. Dopiero w nocy nastaje cisza. Kroki przechodnia na kamiennym bruku odbijają się echem w uśpionej dzielnicy. Tylko od czasu do czasu ciszę zamąci krzyk kotów. Na świeżo wysypanych na uliczki kupach śmieci i odpadków walczą one o lepszy kawałek żeru. Kiedy się minie „souks" i wyjdzie na plac Kashba, trudno w centrum tego arabskiego dekoru nie ulec urokowi afrykańskiej nocy. Dokoła rysują się białe kontury niskich, arabskich domów, kamienne kopuły i strzeliste minarety meczetów. W pobliżu pod pułapem arabskiej cacua (kawiarnia) bielą się burnusy siedzących mężczyzn. Jedni piją tureckim zwyczajem przyprawioną kawę, inni pociągają ospale dym ze wschodniego cybucha, a inni drzemią w upale gorącej nocy. Srebrna poświata księżyca białym całunem spowija uśpione miasto, a na białe mury padające cienie zdają się mówić o milczącej tajemnicy afrykańskich nocy.

KAIROUAN „LA VILLE SAINTE"

Jest w tym kraju tajemnicze miasto, święte dla Muzułmanów, zamknięte dla niewiernych. Już w pobliżu piasczystej Sahary leży Kairouan, święte miasto Arabów, dawniej potężna stolica dynastji Aglabidów, obecnie, od tysiąca przeszło lat cel pielgrzymek niezliczonych rzesz muzułmańskich. Upokorzoną została duma wyznawców islamu, kiedy w r. 1881 wojska francuskie siłą wtargnęły do tajemniczej samotności świętego miasta. Od tego czasu Europejczyk otrzymać może zezwolenie na zwiedzenie meczetu. Według Muzułmanów jest Kairouan jedną z czterech bram wiodących do raju, obok Mekki, Medyny i Jerusalem. Otoczony 10-metrowym murem posiada Kairouan 85 meczetów, z których największym jest meczet założony przez Sidi-Okba w 28 lat po śmierci Mahometa. Jest to najstarszy meczet muzułmański. Otoczony jest ogromnym dziedzińcem i arkadami kolumn, wznosząc ku górze minaret wysokości 40 metrów. Sala modlitw robi wrażenie lasu kolumn, z których każda jest odmienna. Rzymskie, bizantyńskie, korynckie, [illegible] i mauretańskie kapitele roztaczają przepych linji rzeźbiarskich, tworząc z tej różnorodności zadziwiającą, jednolitą całość. [illegible] blask [illegible] się we wnętrzu świątyni, a ściany wgłębienia, gdzie iman odprawia nabożeństwo pokryte są złotym fajansem, najstarszym jaki zna historja sztuki. Kairouan, odgrodzony od obcych wpływów pozostał zakątkiem swoistej kultury i białą baśnią o tajemnicy Wschodu, której Europejczyk nigdy zrozumieć nie zdoła.

WYBRZEŻE SŁOŃCA

Z wieży latarni morskiej, na wzgórzu Sidi Bou Said, roztaczająca się panorama, jest niewątpliwie najpiękniejszą w kraju. Wzrok obejmuje stąd całe t. zw. „wybrzeże słońca". Z jednej strony falują spokojne wody Golfu, oddzielone na horyzoncie od lazuru nieba ruinami Korbous, publicznych łaźni rzymskich, a z drugiej wznoszą się przeżarte wiekiem kolumny świątyń Kartaginy i ruiny kartagińskiego cyrku. Wprost na południe ciągnie się wybrzeże, całe widoczne, płaskie i zalane słońcem. Długą linją złocą się piaski szeregu letnisk i plaż, od Dermeche począwszy aż do opartego o łańcuch wzgórz Tunisu. Daremnie wzrok szuka tu cienia. Kilka palm zaledwie na całem wybrzeżu i gdzieniegdzie spalone krzewy. Majestatycznie i niepodzielnie panuje tu słońce. Błękitne wody zatoki oblewają wzgórze, na którem dawniej potężna wznosiła się Kartagina. Dziś na tych miejscach bielą się wille, i tylko ruiny i gruzy znaczą ślady dawnej potęgi. Jakiś uroczysty panuje tu spokój. Czasem tylko hałaśliwi turyści Nowego Świata przyjdą zakłócić sen wiekowych kamieni. W zapadłym amfiteatrze szare głazy znaczą miejsca, gdzie się ongiś lała krew męczenników, i gdzie trzymane były w klatkach lwy przed wypuszczeniem ich na arenę. A w podziemnych kazamatach widoczne są po dziś dzień wykute przez chrześcian w kamieniu znaki ryb, przed ich męczeńską śmiercią. Na wzgórzu Byrsa, gdzie zginął podczas wyprawy krzyżowej św. Ludwik, naprzeciw ruin cyrku wznosi się nad tą ziemią kartagińska katedra. Zbudowana w stylu bizantyńsko-arabskim należy ona do Kongregacji Ojców Białych (les Peres Blancs), założonej przez kardynała Lavigerie najbardziej zasłużonego krzewiciela wiary chrześcijańskiej na ziemi afrykańskiej. Kongregacja tych księży, oprócz misjonarstwa obejmuje pieczę nad wykopaliskami archeologicznemi w Kartaginie, na którem to polu zmarły niedawno archeolog, R. P. Delatre, położył wielkie zasługi. Wewnątrz katedry, u góry, dokoła głównej nawy taki widnieje napis: Epist. Scti Leonis ad Episc. Afric. Sine dubio post romanum Pontificem primus archiepiscopus et totius Africae maximus Metropolitanus est Carthaginiensis Episcopus, nec pro aliquo episcopo in tota Africa potest perdere privilegium, semel susceptum ad sancta romana et apostolica sede sed obtinebit illud usque in finem saeculi et donec in invocabitur in ea nom Domini Nostri Christi, sive deserta iaceat Carthago, sive resurgat gloriosa aliquando.

J. MAJEWSKI

Najcenniejszy metal na świecie

Jeszcze w ub. stuleciu platyna była o wiele tańsza od złota, z chwilą jednak gdy na rynkach światowych zaczęło pokazywać się złoto w coraz większych ilościach, tak, że cena jego spadała z godziny na godzinę, platyna wysunęła się na pierwsze miejsce wśród metali szlachetnych, z powodu dwóch ważnych przyczyn: dla większego jej pożytku w praktyce oraz zanikania z rynku, który zmuszony był zastępować ją coraz to innemi przymieszkami. Dzisiaj, cena platyny jest kilkokrotnie wyższa od ceny złota. Nie jest ona jednak najcenniejszym metalem.

O wiele, wiele drogocenniejszym jest obecnie rad, którego gram kosztuje około 600 tys. złotych. Bardziej jeszcze rzadkim, a więc i droższym metalem jest „protaktinium" i „indjum", wynalezione stosunkowo niedawno temu. Indjum wynaleźli z końcem ub. stulecia chemicy Reich i Richter.

Jak wiadomo, wysoka cena radu tłumaczy się trudnościami związanemi z wydobywaniem tego metalu. Największym producentem radu jest Belgja, która dostarcza czterech piątych ogólnej rocznej produkcji światowej.

Jeśli rad jest na razie rzadkością, bardziej jeszcze rzadkiem jest indjum. Cały jego zapas na świecie nie przekracza jednego kilograma. Bezsprzecznie rad w świecie nauk lekarskich posiada znaczenie wprost rewolucyjne; nie wiadomo jednak, jakie zalety może w tej dziedzinie mieć indjum, gdyż zbyt małe jego ilości nie pozwoliły dotąd przeprowadzić dokładnych z niem badań. Zdaniem uczonych, posiada ono nieograniczone, wyjątkowe zalety rozciągliwości połączone, z olbrzymią opornością. Ostatnio prasa amerykańska doniosła o wielkich pokładach indjum, leżących w stanie Minnesota, w Stanach Zjednoczonych, z których będzie można rocznie wydobyć około 10 kg. indjum. Jeśli ta wieść okaże się prawdziwą, najcenniejszym metalem na świecie będzie znów rad, którego produkcja roczna na całym świecie nie przekracza 30 gramow.

—0—